

Michał Majerski

„Altheide”

(nowela filmowa, wersja 2. poprawiona)

O świcie z ciemnych deszczowych chmur zaczęło się powoli wyłaniać się pasmo gór Stołowych, a mgły które teraz zaczęły opadać odsłaniały po kolei białe skały na jego stromych zboczach.

Ciszę, której zwykle o tej porze dnia nic nie zakłócało, przerywały krótkie ostrzegawcze głosy ptaków i dalekie odgłosy strzałów krótkich serii karabinu maszynowego. Brzegiem górskiego potoku ucieka młody przerażony chłopiec, jest u kresu sił, potyka się i przewraca co chwilę. Zatrzymuje się na skraju lasu, tam gdzie zaczynają się wrzosowiska. Patrzy czy mgła utrzyma się i osłoni go zanim dotrze do pierwszych domów jego wioski.

Kiedy strzały powoli się oddalają, z mgły wyłania się nieduża wieś, raptem kilka gospodarstw i mały kościółek. Budynki są ładne, z cegły i zadbane. Wieś jest pusta, nie widać ludzi ani zwierząt. Chłopiec skrada się dalej, wybiera drogę od strony lasu i zachodzi do jednego z domów. Drzwi są zamknięte, sięga więc do skrytki pomiędzy cegłami po klucz i wchodzi do środka. Szuka rodziców, ale w domu nie ma nikogo, szafa z ubraniami jest otwarta, na podłodze i łóżku leżą ubrania. Piec kuchenny jest zimny, ale Walter jest głody, zjada zupę bezpośrednio z garnka a potem zamyka za sobą starannie wszystkie drzwi na klucz. Kładzie się w ubraniu do swojego łóżka i zasypia. Nie wie jak długo śpi, za oknami jest ciemno a kiedy się budzi, rodziców dalej nie ma. Zaczyna być niespokojny. Kiedy słychać ostrożne pukanie do okna, uchyla drzwi i przez szczelinę widzi sąsiada, w ciemności nie poznaje go jednak w pierwszej chwili, bo twarz ma skrzywioną strachem.

- Walter? widziałem cię wczoraj jak biegniesz od lasu. To dobrze. Uciekłeś im?

- pan Stahmer ? szepce, nie wie pan gdzie są rodzice? pyta. Czemu pan nie wchodzi ?

- mam dla ciebie złe wiadomości, Water. Byli tu tydzień temu, chyba Polacy i wszystkich zabrali, podobno do Kłodzka, ale mnie udało się dobrze schować. Czekaj jeszcze, nie wychodź, nie pokazuj się, bo może wróć.

To ma być jego pierwszy wieczór autorski i obiecuję mu, że chętnie na niego przyjadę.

Igor przestał malować, ale teraz na starość zaczął coś pisać, chyba jakieś opowiadania albo biografię, nie wiem. A kiedy pytam, mówi tylko tyle, że to tylko taki kaprys, dla przyjemności.

- nie zależy mi, żeby publikować, Walter, podkreśla – wystarczy, że siedzę w fotelu z laptopem i przypominam sobie różne rzeczy, a potem je zapisuję, nic takiego – mówi.

Na spotkaniu z mieszkańcami Polanicy Igor chce pokazać im swoje obrazy i przeczytać kilka fragmentów książki o swoim dzieciństwie tu, zaraz po wojnie. Dziwi się, że go tu jeszcze ktoś w ogóle zauważył, a nawet niespodziewanie organizują mu spotkanie w Domu Kultury. Chociaż w Polanicy mieszka już całe życie, jeszcze od kiedy nazywała się Altheide, jest tu niewidoczny, obcy, nikt go nie zauważa. Bo Igor jest autochtonem, Niemcem i dlatego nie należy tu do swoich.

Był sierotą i aż do końca wojny mieszkał w sierocińcu, zaraz obok kościoła u sióstr zakonnych, który pewną ręką prowadziła siostra przełożona Edeltraud. Pamięta niewiele, nie wie jak się tam znalazł, jego pamięć obudziła się dopiero wtedy, że kiedy któregoś dnia wyszedł z klasztoru na ulicę, trochę dalej niż zwykle zauważył, że ludzie mówią jakimś nieznanym mu językiem. Rozumiał teraz tylko te swoje siostry zakonne w czarnych, długich habitach, które się nim opiekowały. Ale one potem nagle zniknęły i wtedy jego świat się już zupełnie zawalił, bo nie rozumiał już nic i nikogo. Był przerażony, kiedy pojawili się wokół niego jacyś obcy ludzie, i zawieźli go z innymi do Szczytnej, do domu dziecka. Jego łóżko stało teraz w zbiorowej sali pełnej chłopców w jego wieku. Ale wszyscy byli tu dla niego dobrzy, niektórych nawet rozumiał co do niego mówili, ale czuł, że wokół niego działo się coś niedobrego. O tym, że była jakaś wojna, która się właśnie skończyła, nikt mu nie powiedział. Wie tylko, że rodzice nie żyją i w Altheide jest teraz całkiem sam, wśród obcych. Ta obcość staje się teraz częścią jego życia i uczy go, jak dawać sobie radę w każdej sytuacji, doskonali jego bystrość i przenikliwość, wzmacnia czujność, bo Igor chce żyć. Z czasem kiedy stał się dorosłym mężczyzną nawet pociąga go takie ukrywanie się pomiędzy ludźmi, którzy są wprawdzie jego

sąsiadami, ale odlegli jak inna galaktyka. Widzi u nich udawaną obojętność i strach przed wszystkim, co obce i niemieckie. A on doskonale wie, że jest u siebie w domu i czuje się tu dobrze.

– Do dzisiaj się tu nic nie zmieniło – mówi Igor – wiesz przecież, jak nas traktują, zostało nas już tu tylko kilku ostatnich autochtonów jak na nas mówią, ale oni dalej nas nie tolerują. Kuracjuszy z Niemiec to tak, bo to jest biznes, ale nas? Nie istniejemy, bo jesteśmy dla nich jak wyrzut sumienia.

Wrzesień w Hamburgu jest tego roku wyjątkowo ciepły. W sobotnie i niedzielne popołudnia ludzie całymi rodzinami spacerują promenadą, wokół Alsteru. Należy tu do rytuału, żeby się pokazać.

Walter stoi przy oknie, mruży oczy i patrzy na gładką powierzchnię wody w Alster, w której odbija się ciepłe wrześnie słońce. Jest szczęśliwy że żyje, że przeżył ten trudny czas kiedy Altheide stawała się Polanicą.

Po chwili zamyka okno, sięga do szuflady starej komody i szuka kluczy do swojego domu w Polanicy. Dawno ich nie używał, ale przecież gdzieś powinny tu leżeć, między zdjęciami, które robiła Marta i pamiątkami po cioci Władce. W szufladzie przechowuje też stare, banalne widokówki, które kupuje przy każdej okazji: dolnośląskie krajobrazy, zapomniane miejsca, nieciekawe budynki w jakichś już nieistniejących wioskach. Lubi je później brać do ręki i oglądać. Te pozornie nic niemówiące zdjęcia, porozbijane fragmenty Kotliny Kłodzkiej, a jeszcze nie tak dawno Hrabstwa Kłodzkiego układają się u niego w jakąś całość, pamięć, której nie pozwala zginąć.

Z biegiem czasu, od kiedy stamtąd wyjechał, niektóre obrazy już się w niej jednak zatarty. Tak jak obraz jego rodziców, bo nie zostało po nich żadne zdjęcie ani inny ślad, nie wie nawet, gdzie jest ich grób, ale dokładnie wie, że jego domem i ojczyzną jest to miasteczko które nie wie jak nazwać - Polanica czy Altheide, no i ta Kotlina, Glatzer Kessel. Od kiedy pamięta to zawsze go chroniła, tak jak ciocię Władkę, która też znalazła tam swój nowy dom.

Miasteczko przycupnęło bezpiecznie z boku kotliny, a wokół chronią go pasma gór i Wielki Śnieżnik, Schneeberg. Niemcy mówią na niego Święta Góra, bo tuż pod szczytem ma swoje sanktuarium Maria Śnieżna. Jej białe wieże widać z daleka i

miejscowi od wieków wiedzą, że Maria jest ich patronką, dobrą matką, która wybacza winy swych poddanych, więc teraz po tej wojnie zwracają się do niej szczególnie, jest ich ostatnim ratunkiem.

Do Altheide wojna nie dotarła, może właśnie dzięki niej przeszła tuż obok, ale dotarł jej rachunek, który miasto musi za nią zapłacić. Przez całe lato 1945 roku cała Kotlina Kłodzka, Glatzer Tal, wypełnia się obcymi ze Wschodu i poszukiwaczami skarbów. Góry stały się teraz kryjówką nie tylko dla bandytów, lecz także dla upartych Niemców, którzy nie chcą wyjeżdżać na obczyznę, gdzie przecież nikogo nie znają.

Najpierw pojawiają się ci, którzy nie lubią pytań, skąd i po co tu przyszli. Po nich przyjeżdżają już inni, biedota wypędzona przez Rosjan na wschodzie. Ale biednym zawsze wiatr w oczy i dla nich niewiele już zostało. Domy po Niemcach były już splądrowane albo zajęte. Zaczęła się nowa historia.

Dziś Altheide znikło prawie bez śladu, bo Polanica o swojej matce nie chce nic słyszeć. Nie chce jej, mówi że jest jej obca, nie chce być jej dzieckiem ani spadkobiercą. Dostała nowe imię i chce być kimś innym. Ale nie całkiem się to udaje, bo czasem niespodziewanie na uliczkach pojawia się jakaś mała grupka starszych ludzi, dawnych mieszkańców którzy przystają i oglądają swoje domy rodzinne, stoją przed nimi długo i w milczeniu. A to irytuje. No i robi się kłopot, więc najlepiej udawać, że tych ludzi nie ma, że są niewidoczni. Walter też do nich należy i do Altheide którego już nie ma. Ale nie zapomina skąd pochodzi i dlatego musi jechać. Niemal instynktownie wyciąga ze staromodnej szafy swoją dużą walizę.

Zaraz po studiach we Wrocławiu, zaraz po habilitacji, wyemigrował do Hamburga. Dla takiego jak on, niemieckiego znajdy jest to niezwykła kariera, bo jego świadomość do dzisiaj wypełniają szczelnie obrazy powojennej zawieruchy które ciągną go w dół, w jakąś ciemność i nie zgadzają się na żadną lekkość życia. Cała jego pamięć, jest nieodwołalnie zapisana w takiej osobistej czarnej skrzynce, ukrytej głęboko gdzieś w jego wnętrzu. Nie da się jej skasować i jest zawsze pod

ręką. Sięga po nią, kiedy czuje się słaby i w nocy odwiedzają go znajome demony. A kiedy zaczyna się z nimi walka, ona w jakiś dziwny sposób daje mu siłę.

Władka nie była moją ciocią, tylko dobrą, prostą kobietą, która mnie adoptowała i przygarnęła jak bezdomnego psa na dworcu w Altheide. Mama i tato zginęli już po wojnie i nikt nie wie, jak się to stało. Któregoś dnia zabrali ich z domu i już nie wrócili. A potem przyszedł sąsiad i powiedział mi, że bym na nich nie czekał bo dostali w Kłodzku wyrok śmierci, a ich ciała gdzieś zabrali. Było to dla mnie niepojęte. Czekałem na nich w domu jeszcze kilka nocy, miałem nadzieję, że to nieprawda i wrócą. Tego czekania nigdy nie zapomnę. Chyba nawet płakałem. Musiałem coś zrobić, ale nie wiedziałem co, nie wiedziałem jak się mieszka w domu samemu, bez rodziców. W szafach wisiły ich ubrania, a dookoła leżały ich rzeczy. Bo przecież jeszcze niedawno tu byli i żyli.

Chłopiec jest sam. Pakuje w jakąś torbę kilka swoich rzeczy i idzie na dworzec, nie wie dlaczego właśnie tam, ale też nie wie co dalej, gdzie jechać i do kogo. Na peronie się nie wyróżnia, bo są to czasy wielkich wędrówek, kiedy wszyscy są w drodze, jeżdżą w tę i z powrotem i nikt o nic nie pyta. Ludzie szukają nowych gniazd i swoich zaginionych bliskich. Na dworcu patrzy na przejeżdżające pociągi, a potem do któregoś wsiada, jedzie kawałek gdzieś przed siebie i wysiada. Powoli traci rachubę czasu.

– Na tym peronie musiałeś siedzieć chyba kilka dni, taki byłeś zmarnowany – wspomina później Władka – ale nie ty jeden, na dworcu było jeszcze pełno innych dzieci, które te Niemki pozostawiały. Nie chciały ich brać ze sobą, bo nie było jedzenia i nie wiedziały czy przeżyją.

Liczyły na to, że tu wrócą. No i podrzucały je Polakom, którzy się tu osiedlali. A ci oddawali je dalej do domu dziecka. To była dla nich jedyna szansa, bo tam je karmili. Ale dlaczego ona wybrała właśnie mnie i zabrała ze sobą? Dlaczego właśnie mnie, zwykłe, głodne i obdarte niemieckie dziecko?

Pochodziła ze wschodu, z małej wsi która się nazywała Cimuszowa. Do Altheide przywieźli ją już na samym początku wojny, do pracy przymusowej, „na landówę”. O tym dowiedziała się dopiero w pociągu od innych Polaków. Miała dużo szczęścia. Na stacji ustawiali ich przed wagonami i wtedy miejscowi zjeżdżali się z całej

okolicy, żeby wybrać sobie kogoś do pracy. Nie było komu pracować, bo wszyscy niemieccy mężczyźni byli na wojnie. Zabrał ją wtedy jakiś lekarz, do sprzątanía i do dzieci. Władka często o nim opowiadała, że doktor Schlegel był bardzo przystojny i ją szanował. Walter doszedł później do absurdałnego wniosku, że się chyba w nim trochę podkochiwała. Ale potem wszystko się zmieniło, weszli Rosjanie z Polakami i lekarz musiał z rodziną uciekać. Może nie musiał, ale chciał. Władka została teraz sama z zadaniem pilnowania domu i czekała na ich powrót. Czasem opowiadała mi też o swojej wsi i chyba tęskniła, ale wrócić już nie mogła.

Tak zostaliśmy w Altheide sami, w dwójkę, każdy ze swoim losem, w tym o wiele za dużym i pięknym domu, który tylko dzięki niej bronił się przed szabrownikami.

Po prawie dziesięciu godzinach jazdy pociągiem jest zmęczony tą podróżą, a czeka go jeszcze przesiadka w Glatz. Nie może jakoś zaakceptować tej polskiej nazwy – Kłodzko, chociaż wie, że tak to miasto nazywali kiedyś Czesi. Wysiada, ma dużo czasu, bo pociąg do Polanicy odjeżdża dopiero za dwie godziny. Dworzec się nie zmienił, od wojny minęło już tyle lat, ale wszystko wygląda jeszcze jak wtedy. Wahadłowe drzwi z miedzianymi uchwytami skrzypią tak samo, tylko okienko do sprzedaży biletów jest nieczynne i zasłonięte brudną firanką. Obok stoi automat na bilety. Idzie teraz wolno w stronę starego rynku i wchodzi do pachnącej jeszcze farbą kawiarni „Colombina”. Pamięta ją dobrze, bo był tu kiedyś z Martą na wagarach. Teraz ściany pomalowano na krzykliwy żółty kolor. Nowy właściciel pewnie pomyślał, że już czas żeby ten ciężki ponemiecki klimat zastąpić czymś bardziej wesołym dla oka, więc teraz tu stoją nowe stoliki i krzesła z Ikei. Od lat, kiedy tu przyjeżdża, w mieście za każdym razem coś się zmienia. Są ciągle niespodzianki, nowe pomysły na biznes. Sklepiki i restauracje znikają albo zmieniają adresy. A Walterowi się to nie podoba, nie lubi zmian. Wydawać by się mogło, że biznes tu kwitnie, ale kończy się zawsze na malowaniu ścian. A farby, najróżniejszych kolorów, nawarstwione przez całe dziesięciolecia do dzisiaj nie potrafią przykryć tej ponemieckości. Po wojnie miała być to strefa oczyszczona od Niemców i to się udało, ale sama niemieckość ciągle wystaje jak spod krótkiej kołdry.

Ludzi do których ta ziemia należała, już tu nie ma. Zniknęli po wojnie, jak kiedyś mieszkańcy Pompei po wybuchu Wezuwiusza.

Ale coś się po nich zachowało – wystarczy tylko uważnie popatrzeć, założyć na oczy filtr który kasuje przemalowania i uzupełnia braki w oryginale. Wtedy wystarczy się rozejrzeć dookoła, żeby zobaczyć ślady po nich, jak po Etruskach. Ale tutaj archeolodzy nie będą musieli wiele odkopywać, bo wszystko jest na wierzchu, wszystko jest widoczne, kiedy uważnie popatrzeć.

W kawiarni w Kłodzku przy oknie siedzi starsza para w odświeżonych zielonych strojach z haftem, a kelnerki od razu rozpoznają w nich niemieckich turystów. Ci najpierw zaprzeczają gorliwie, ale za chwilę przyznają, no tak, może turyści, ale my jesteśmy stąd. Pewnie przyjechali tu już ostatni raz, pożegnać się ze swoim domem i siedzą teraz w milczeniu. Za kilka godzin wsiądą do pociągu i odjadą, na zachód. Mam wrażenie, że tutaj, na tych ziemiach, do dzisiaj pociągi kursują tylko w jednym kierunku - zachodnim. Walter wyobraża sobie, że mógłby to być przecież doktor Schlegel z żoną, ale to na pewno nie jest on, przecież musiałby mieć już ponad sto lat.

Na peronie w Polanicy czeka już na niego Igor. Rozpadający się budynek dworca i brak ławek sugeruje że pociągi przestały tu już jeździć od dawna. Tak jednak nie jest. Dziś był to już ostatni pociąg i poza Walterem nikt nie wysiada. Witają się i jak zawsze idą do "Zdrojowej", na kolację. Droga prowadzi najpierw przez łąkę, a potem wzdłuż wezbranej deszczami górskiej rzeki.

Jej rwący nurt zagłusza rozmowę, więc milczą, ale jeszcze tylko chwila i będzie mały mostek. Już są przy deptaku. Z biegiem lat ich spotkania stają się jakby rytuałem. Łączy ich dużo, ale może dlatego odzywają się do siebie niewiele. Nie muszą już mówić o wszystkim. Tylko o tych najważniejszych rzeczach, co się od ostatniego roku zmieniło, kogo ostatnio widział z ich dawnej klasy, albo kto zmarł. Walter jak zwykle najpierw pyta o Martę, a Igor ma ciągle tę samą odpowiedź. Marta przepadła i nie daje znaku życia. Chodzili wtedy do jednej klasy i byli nierozłączni, a na grobie Hansa Ramshorna przysięgali sobie wierność i przyjaźń na całe życie – Igor, Walter i Marta.

Najpierw wyjechała Marta, uciekła z ojcem, chyba do Niemiec, a potem – już dużo później – Walter, do Wrocławia na studia. Igor nie szukał nowego domu i został w Polanicy. Nie znalazł też nowych przyjaciół, nie ożenił się i stał się odludkiem. Zaczął wcześniej malować, maluje bardzo dokładnie, niemal z fotograficzną

dokładnością, a w lecie, kiedy jest ładna pogoda, ustawia swoje sztalugi przy deptaku. Kuracjusze przystają na chwilę i z nudów próbują nawiązać z nim rozmowę. Czasem ktoś pyta, dlaczego jego obrazy są takie dziwne. Nie wie, jak na to odpowiedzieć, zażenowany mówi: bo tak jest. Jeden z jego obrazów powiesiłem u siebie w moim hamburskim mieszkaniu.

Wcześniej nigdy nie przychodziło mi nawet na myśl, że Igor będzie artystą. Teraz zaczął coś pisać, mówi że pisze o historii tej ziemi. Ale tu w Polanicy nikogo to nie interesuje. Widzi tylko wzruszanie ramion i wie, że za tą obojętnością ciągle jeszcze ukrywa się jakaś niechęć, a może nawet strach. Dlatego urzędniczka z referatu kultury woli organizować coś bardziej przewidywalnego niż wieczór autorski nieznanego pisarza i artysty. Altheide się skończyło, a Polanica nie chce mieć z nią wiele wspólnego. To są już stare czasy, o których lepiej nie pamiętać bo sieją tylko niepokój. Walter o tym wie i w tajemnicy przed Igorem prosi urzędniczkę o zorganizowanie mu wystawy jego obrazów i wieczoru autorskiego obiecując pokrycie wszystkich kosztów. Kobieta godzi się, ale pod warunkiem, że zrobi to po cichu i nie będzie żadnej reklamy. No, ewentualnie można dać informację i kilka reprodukcji jego obrazów na niemieckich stronach internetowych Urzędu Miasta. Tam w Niemczech są jeszcze ludzie, którzy to czytają i się interesują, ale tutaj kuracjusze muszą mieć spokój, więc na wszelki wypadek w tym samym czasie zorganizuje jeszcze wieczór ulubionych arii operetkowych, a wtedy już nie powinno być żadnych problemów.

Potem jednak stało się coś, czego się nikt nie spodziewał.

Spotkaniem z Igorem zainteresował się jakiś początkujący i ambitny dziennikarz z lokalnej gazety i opisał je prowokacyjnie jako spotkanie z ostatnim jeszcze żyjącym tu Niemcem w polskiej enklawie. I zrobiła się burza kiedy on dalej w tej gazecie naiwnie pytał, skąd do tych autochtonów tyle niechęci i agresji skoro nikt ich właściwie nie zna. Dlaczego w mieście nie ma żadnego śladu po dawnych mieszkańcach Altheide, żadnego muzeum, a w szkole dzieci nie uczy się nie tylko historii miasta, ale nawet Hrabstwa Kłodzkiego? Kto miałby to zresztą robić? Hrabstwo Kłodzkie? A co to jest?

A Igor wszystko pamięta, każdy szczegół. Jest tu jedynym, który zna historię tego zranionego miejsca, tej Kotliny, wie co się tu wydarzyło.

I od tego artykułu, w redakcji urywają się telefony zatroskanych obywateli, że to pewnie początek jakiejś nowej germanizacji i w efekcie zdenerwowana urzędniczka chętnie odwołałaby spotkanie. Ale jest już za późno, wszystkie bilety na spotkanie zostały wysprzedane, podobno jakiś makler z Berlina zarezerwował wszystkie obrazy i zapowiedziała się telewizja niemiecka RBB.

Pierwszego czerwca 1945 Altheide nazywa się już Puszczykowo, a za rok jeszcze raz zmieni nazwę na Polanica-Zdrój i tak już zostanie do dzisiaj.

Jest wrześniowy poranek i w parku zdrojowym pierwsze promienie słońca przebijają się przez gęste rododendrony. W małych uliczkach, które przecinają park, stoją opuszczone domy i pensjonaty, nietknięte, wojna nie zdążyła tu przyjść i ich zniszczyć. Nie widać nigdzie ludzi, jest cisza, tylko tam niżej w dole, gdzie kończy się dawna Brunnengasse, słychać niepokojący szum górskiej rzeki.

Przez mostek przechodzi właśnie kilkoro dzieci w mundurkach z białymi kołnierzykami, idą w kierunku szkoły. Chwilę później stoją już przed budynkiem i czekają na nauczyciela. Jak gdyby nic pierwszego września zaczyna się nowy rok szkolny, a to jest przecież oczywiste.

Szkoła jest mała, ale dla takiego Altheide zawsze wystarczała, małego miasteczka, które jeszcze niedawno liczyło sobie tylko niecałe cztery tysiące stałych mieszkańców, Niemców. A dzisiaj, kilka miesięcy później pozostała z nich już tylko mała garstka. Na ulicy odróżniają się wyraźnie

i można nawet na nich pokazać palcem: popatrz! Tam, widzisz ich? To są ci Niemcy, którzy jeszcze nie wyjechali. W końcu udało się ich upchnąć w piętnastu pociągach towarowych. Wywozili ich stopniowo przez kilka miesięcy i to nie tylko za karę że byli Niemcami, ale właściwie dlatego, że potrzebne było miejsce dla swoich: Polaków, bezdomnych, wygnanych ze swoich domów na wschodzie.

Pociągi z wygnańcami ze wschodu, od strony Ukrainy jeszcze nie docierają tu tak daleko. Ludzie z całym dobytkiem wysiadają z nich dużo wcześniej, najdalej w Breslau, więc w Altheide wypełnianie tej pustki po wysiedlonych Niemcach będzie trwało jeszcze długo.

Ale niektórzy z nich muszą zostać, nowi właściciele nie chcą wypuścić fachowców, muszą pracować i meldować się regularnie na posterunku milicji.

Sześćdziesiąt lat później w tym samym miejscu i tej samej porze Walter przystaje ponownie przed swoją szkołą. Nic się nie zmieniło, widzi. Tak samo jak wtedy, przed szkołą stoją dzieci i czekają na nauczyciela. Tym razem są już sami Polacy. Może po tylu latach powinno być tych dzieciaków już więcej? Myśli. Droga za szkołą prowadzi na miejskie wysypisko śmieci, a dalej jest już tylko cmentarz ewangelicki. Od wojny nikogo tu nie chowano, ewangelików było tu zawsze mało, a Polacy nie chcieli leżeć razem z Niemcami. Dziwne, że nikt nie pytał, dlaczego Władka, Polka bez żadnych wątpliwości, chciała być właśnie tam pochowana, w kwaterze rodzinnej doktora Schlegela, Niemca, jej pracodawcy. Ten największy i najokazalszy grobowiec jako jedyny na cmentarzu pozostał nietknięty, hieny cmentarne oszczędziły go tylko dlatego, bo broni go nowa polska tablica, ze zdjęciem i nazwiskiem mojej przybranej matki: Władysława Foryta.

Walter widzi jak pod cmentarz wolno podejżdża duży luksusowy autokar, ma rejestrację ze Stuttgartu. Wysiada z niego kilku staruszków. W milczeniu wchodzą na zarośnięty teren, który był kiedyś cmentarzem. Był? Jak to? Przecież jest dalej, nikt go nie likwidował.

Staruszkowie z autokaru chodzą w milczeniu w tę i z powrotem pomiędzy krzakami i przewróconymi nagrobkami jak zahipnotyzowani, ale nie widać u nich złości. Kiedy jeszcze w gimnazjum z Igorem dorabialiśmy sobie oprowadzaniem wycieczek niemieckich po Polanicy,

to tamci też tak chodzili. A my za nimi. Oni nie potrzebowali żadnych przewodników, a najgorsze było, że nas w ogóle o nic nie pytali, a przecież mogli bo w końcu nam płacili.

Kiedy tak za nimi chodziliśmy po mieście to cały czas milczeli, a niektórzy po cichu płakali. Kiedyś poszedłem za nimi do kościoła i usłyszałem jak się głośno modlili i śpiewali psalmy:

przyjdź Duchu Święty, spójrz na nasz Heimat, na naszą Dolinę i bądź dla niej łaskawy. O Maryjo, Kłodzka Madonno z Wysokiej Snieżnej, modlimy się dziś do Ciebie, za wszystkich którzy tu mieszkają i powierzyli się Twojej opiece.

Walter zapala świeczkę na grobie Władki, zamyka oczy i zaczyna się modlić, za Martę, za mamę i tatę, za Altheide i za Glatz. Potem wraca okrężną drogą przez miasteczko i zatrzymuje się jak zawsze na moście, niedaleko ogrodzonego źródła gdzie można się napić wody mineralnej.

Lubi patrzeć na rwący nurt tej górskiej rzeki. Ma ona w sobie coś magicznego, jej nurt ma jakąś siłę, a Igor kiedyś opowiadał, że siostry zakonne zabraniały się do niej zbliżyć. W rzece żyje Neck, potwór, mówiły. A on jest straszny, ma postać bobra i potrafi się nadymać do ogromnych rozmiarów. Siostry mówiły też, że Neck jest bardzo bogaty, bo jeżeli mu się zapłaci, to pilnuje, żeby spełniały się przekleństwa, które ludzie na siebie rzucają.

Ale można je łatwo unieszkodliwić, trzeba tylko znać zaklęcie. „Neck, Neck, Strudelgeist. Du bist im Wasser, ich bin am Land”. Wtedy pokornie zostawia nas w spokoju.

Już w lecie 1945 zaczynają pojawiać się pierwsi pojedynczy Polacy. Otwierają po kolei drzwi opuszczonych domów i mieszkań, wchodzi do środka, ale się nie wprowadzają, nie chcą tu mieszkać. Tylko wynoszą z nich zdobycze, szukają po szafach i biorą tyle, ile mogą sami udźwignąć. Później do miasteczka przyjeżdżają dwie zdezelowane wojskowe ciężarówki, które wywożą gdzieś meble i resztę. Dopiero kiedy domy są już puste, do Polanicy dociera pierwszy pociąg ze wschodu. Od strony stacji kolejowej pojawiają się teraz grupki ludzi. Wszyscy szukają mieszkania albo jakiegoś domu, z drzwi odkręcają już nieaktualne szyldy z dziwnymi nazwiskami, ale skrzynki z napisem „Briefe” zostawiają, bo poczta jest zawsze najważniejsza i działa cały czas bez jednego dnia przerwy. Dla nich teraz wszystko dookoła ma już tylko jedną, magiczną nazwę – poniemieckie. Cała kotlina, Glatzer Kessel staje się poniemieckie.

Przed domami na wypielęgnowanych podwórkach pojawiają się pierwsze dzieci, przez tę wojnę odwykłe od zabaw, a teraz widzą nagle raj, znajdują tu niezliczone ilości zabawek i książek z obrazkami po ich niemieckich rówieśnikach. Zostały, bo nikt ich ze sobą nie zabierał, w walizkach rodziców nie było już miejsca,

szabrownicy też ich nie chcieli, więc teraz zabawki są wszędzie i walają się, bezużyteczne.

Pierwszego września to początek roku szkolnego i zapowiada się upalny dzień. Do szkoły Walter ma blisko, tylko przejść przez park i potem już tylko ścieżką obok domu zdrojowego. Po drodze zauważa, że do sąsiednich domów wprowadziły się już pierwsze rodziny, czasem poruszy się firanka, ktoś zamknie drzwi. Przed szkołą stoi już kilkoro dzieci i kierownik szkoły „pan Majerski”. Czekają już na niego i prowadzi do nowej klasy, „gimnazjalnej”.

– Będziecie razem, w jednej klasie, bo Niemcy muszą być razem – mówi do niego łamanym niemieckim – na pewno znajdziesz jakiś kolegów.

Walter się cieszy i rozgląda wokoło. Większość ławek stoi jeszcze pusta, jeszcze nikt nie siada. Młodzi ludzie się wzajemnie obserwują, które z nich jest Niemcem? Nikt się przecież tak od razu nie przyzna. Już wie, że nikt się nie przyzna, ze strachu.

W ostatnim rzędzie widzi Martę, nazywa się Zeiger i zna ją z widzenia bo mieszka na sąsiedniej ulicy. A jest jeszcze Igor. Ma polskie nazwisko i do tego Burek, więc w klasie myślą, że jest Polakiem. A więc będzie nas tylko troje? Ci z pierwszych ławek odwracają się i syczą: hitlerowcy, szwaby. Obok nas nikt nie chce siedzieć, więc będziemy się trzymali razem i razem uczyli po polsku. Rozumiemy już coś niecoś, ale jeszcze dobrze nie mówimy.

-Du wohnst doch da hinter dem Park? – pyta Marta. Mieszkasz tam, gdzie był ten lekarz? Doktor Schlegel? oder? Lekarza i jego rodziny już nie ma, a w jego domu mieszka teraz on, sam z Władką.

Marta Zeiger mieszka na sąsiedniej ulicy i z całej klasy, ba, może i całego Dolnego Śląska chodzi najładniej ubrana. W domu ma pełną szafę różnych kreacji. Jej ojciec jest mechanikiem i pracuje w Zdroju. Wie jak się obsługuje pompy głębinowe i oprócz niego nikt tego nie potrafi.

Sanatoria są pełne chorych, pękają w szwach, więc takich Niemców jak on nigdy stąd nie wypuszczą.

Do naszej paczki należy jeszcze Igor, jest chyba najzdolniejszy z wszystkich, nic nie jest dla niego trudne. Lekcje w szkole jeszcze się na dobre nie rozpoczęły, a on jest już najlepszy. Tylko po polsku jeszcze nie potrafi. Mieszka w klasztorze za

kościółem, ale kiedy wyrzucili zakonnice to przenieśli go na krótko do ośrodka dla sierot wojennych na zamku w Szczytnej. Zamek stoi na wzgórzu i wystarczy tylko przejść przez park żeby go zobaczyć. Jeszcze niedawno był tam ośrodek szkoleniowy dla Hitlerjugend „Rueckers”, ale potem zrobiono z niego dom dziecka, bo nie trzeba było tam nic zmieniać.

– Śpimy nawet w tych samych łóżkach – opowiada Igor.

Kiedyś Marta pyta go, dlaczego ma takie rosyjskie imię, skoro jest Niemcem.

-Właśnie przez to główniane imię nie wzięli mnie do transportu razem z naszymi siostrami zakonnymi, do Niemiec – mówi.

Właściwie nazywa się Raphael, ale gdy przyszli Rosjanie od razu zmienili mu imię, a później przyszła kolej na nazwisko, ale to mógł sobie przynajmniej wybrać. W papierach od zakonnicy nazywał się Baumann, ale to z kolei się nie podobało Polakom. Mieli taką listę i miał z niej wybrać sobie coś na B i wybrał Burek, bo jest krótkie. Więc od kilku miesięcy nazywa się Igor Burek i ma teraz papiery polskie.

Marta, Walter i Igor spotykają się po lekcjach i szybko stają się nierozłączni, wążają się po mieście i czasem odprowadzają Igora na zamek, do jego sierocińca. Któregoś dnia w drodze powrotnej zachodzą na cmentarz. Od kiedy Niemcy wyjechali to świeci pustkami, nikt tu teraz nie chodzi i nie odwiedza grobów. Marta bierze Waltera za rękę i prowadzi go między grobami. Zatrzymuje się przy grobowcu rodzinnym.

– muszę ci pokazać grób mojego brata, ale tu w grobie go nie ma. Był starszy ode mnie, o rok. Wolfganga wzięli na front wschodni – mówi – tak jak pojechał, to już po kilku dniach przyszła wiadomość, że zaginął gdzieś w Rosji. Potem przysłali nam jego rzeczy, w takiej małej paczce – pokazuje – i tu je zakopaliśmy, w grobie babci. Marta zaczyna płakać i obejmuje Waltera, przytula się do niego, a on bierze w ręce jej włosy, ten zapach mu coś przypomina. Całuje ją, a ona wczepia się w niego mocno i delikatnie muska wargami. Walter czuje jej bliskość i oddech. Opiera się o drzewo, kręci mu się w głowie, kiedy Marta się tak w niego wtula. Czy tak jest zawsze kiedy się jest zakochanym ?, myśli.

- Chodź już, pokażę ci moje ulubione miejsce, szepcze całując go bez przerwy.

Dalej, przy głównej alei już z daleka widać duży marmurowy grobowiec, który wygląda jak mała kaplica. Na ścianie jest piękna tablica i nazwisko: *Hans Ramshorn – den Heldentodt gestorben. Deine dankbare Heimat.*

Grobowiec ma ciężkie metalowe drzwi, ale te są zaspawane i bez zamka. Mają piękne zdobienia i roślinny relief, a gdy się dłużej w niego wpatrzyć, widać w nim wkomponowane małe ukryte swastyki.

–Co one tu jeszcze robią?– pyta Walter.

– Ruskie musieli to przeoczyć –odpowiada Marta – ale kto by tam patrzył tak dokładnie? Na jego pogrzebie było całe miasteczko, wiem, bo ojciec robił wtedy zdjęcia. To był jeden z tych bonzów od Führera – mówi – no, ale dzięki Bogu udało mu się szybko zginąć za ojczyznę, „*Gefallen für die Heimat, unser Glatzer Heimat*” czyta dalej. Co za bezsens, myśli później.

Hans Ramshorn jest honorowym obywatelem Altheide, jego synem i pewnie dalej patronem szkoły, bo tej tablicy z budynku nikt jeszcze nie zdążył zdjąć. Wisi zdecydowanie za wysoko, a od kiedy szabrownicy wyjechali, to nie można znaleźć żadnej drabiny.

Ramshorn, od kiedy usłyszał o Adolfie, jak poufale nazywał swojego „Wodza wszystkich czasów” od razu stał się jego płomiennym wyznawcą i poza SA i Gestapo nie widział życia. Organizował w Altheide tajną policję i szybko awansował. Nie dane mu jednak było zebranie owoców tego zaangażowania, bo został zastrzelony gdzieś pod Breslau w akcji "Długich Noży", no i jego partia zrewanżowała mu się teraz pięknym grobowcem.

Z tyłu grobowca pod ścianą ukryta jest ławeczka pod daszkiem, nie widać jej z głównej alei. To jest miejsce Marty, przychodzi tu czytać książki albo kiedy chce być sama. A dzisiaj przeżywa coś wyjątkowego, obok niej siedzi Walter i ją całuje. Jest w niej zakochany, ale nie daje tego znać po sobie. Podoba mu się w niej, że na przerwach w szkole Marta nie da się zakrzyczeć bo jest zawsze pewna siebie, nie tak jak inni uczniowie w klasie. Na początku krzyczeli za nią „hitlerówka”, a na nas „szwaby”, ale szybko im te docinki wybiła z głowy.

Pociągi ze wschodu zaczęły tu już teraz częściej docierać i nasza klasa powoli się zapętnia.

Ci nowi są jacyś dziwni, prawie nikt nie mówi dobrze po polsku, tylko po ukraińsku albo rosyjsku, albo jeszcze w jakiś innych niezrozumiałych językach. Dużo z nich było od nas o wiele starszych, ale nie umieli nawet czytać. Zbieranina z najbardziej

dziwnych miejsc gdzieś tam na wschodzie, o którym nikt z nas nigdy nie słyszał, ale jednak było coś co nas łączyło – prawie nikt z nas nie miał ojca.

W szkole nikt nie pytał skąd się przyjechało i w ogóle o nic. Był jakby niepisany zakaz mówienia o domu. Dzieci po lekcjach się nie odwiedzały i każdy żył dla siebie. Tylko my byliśmy wyjątkiem.

– To wy jesteście te Niemcy? – pytali nas na początku, ale zaraz się odwracali. Później, kiedy na dworzec przyszedł jeszcze transport rosyjskich żydów, a potem nawet cyganów, zrobił się problem. Zabrakło ławek, klasa zrobiła się jak wieża Babel, a języki się nam ciągle mieszały. Już mało kto mówił po polsku, o pisaniu nie wspomnę. Siedzieliśmy tak w tych ławkach, ciasno jeden obok drugiego, oni – zbieranina z najróżniejszych dziur gdzieś na wschodzie – i my, stąd – Niemcy, w ostatniej ławce.

Przez środek Polanicy płynie Bystrzyca, rwąca, górską rzeką i jest ona jak granica, broni dostępu do dzielnicy zdrojowej tam, gdzie jest park, hotele i domy zdrojowe. Mieszkali tam tylko ludzie zamożni, ale teraz? Sprawiedliwość musi być. Te duże, bogate wille zapelniają się powoli biednymi wygnańcami ze wschodu. Kobiety i dzieci całymi dniami siedzą przed domami na schodach, jakby na coś czekali. Nie widziałem, żeby ktoś się tam urządzał albo zawiesił nowe firanki, tylko gdzieś w ogrodach i garażach widać przywiezione bydło, a nawet jakieś prymitywne maszyny rolnicze. Myślę, że tym biednym ludziom było wszystko jedno czy mieszkają teraz w jakimś pałacu czy wiejskiej chacie. Na pewno czuli się tu obco.

Któregoś dnia Walter wraca po szkole do domu i widzi że na trawniku siedzi grupka ludzi i czeka kiedy ktoś im otworzy. Są z dzisiejszego transportu. Jechali tu aż z Kazachstanu, prawie miesiąc. Obok leży stos bagaży, a do płotu przywiązane są dwie bardzo wychudzone kozy.

To są repatrianci, polscy przesiedleńcy i mają skierowanie do ich domu, przydział na mieszkanie. Kiedy Władka wraca z pracy, otwiera im drzwi i wpuszcza do środka. Prowadzi na parter i otwiera gabinet lekarski. Od kiedy jej lekarz wyjechał, gabinet stoi zamknięty na klucz. Repatrianci wchodzi i zamykają za sobą drzwi. Do wieczora słychać stamtąd hałasy i przesuwanie mebli, pewnie się urządzą, bo na korytarz wystawiają

książki i sprzęty lekarskie. Ale po kilku dniach nastaje niespodziewanie cisza. Lokatorzy nagle gdzieś zniknęli, ale wieczorem ktoś niespodziewanie puka do drzwi. Władka waha się, ale otwiera. Przed drzwiami stoi młody mężczyzna w długim wojskowym płaszczu, zdejmując czapkę i się przedstawia. Tłumaczy, że zamienił się właśnie mieszkaniem i teraz on będzie naszym sąsiadem, będzie mieszkał na parterze, z żoną. Ona jest wprawdzie jest niemową i prawie nie wychodzi, ale będzie komu uważać na dom, tłumaczy.

-Tym poprzednim tu się kompletnie nie podobało, - tłumaczy nie pytany, - narzekali na lokalizację, że przy parku i w ogóle, a przede wszystkim, że w ogródku nie było chlewika.

Władka z każdym dniem rozumiała, że do Cimuszowej już nie wróci, że jej miejsce jest teraz tutaj. Ale jest zadowolona, nie musi nosić już tej czerwonej legitymacji z niemieckim napisem na okładce „Behelfsmäßiger Personalausweis/dowód tymczasowy”. Altheide jej się podoba, wszystko jest takie czyste, w parku tyle nieznanymi roślin, może tam teraz siadać na każdej ławeczce, chodzić gdzie tylko chce i nawet wejść do tej słynnej kawiarni Doernerów. Ale to nie dla mnie, mówi. Dostała nową pracę w Zdroju, przyuczyła się, jest teraz kąpielową i przygotowuje kąpiele błotne. Praca jest lekka, nabiera torfu z beczek i wkłada go do miedzianych wanien z gorącą wodą.

Musi go tylko dobrze wymieszać. Z czasem zaczęła urządzać nasze mieszkanie na piętrze, po swojemu. Na pierwszy rzut nastąpiła zamiana obrazów. Na miejscu tych niemieckich Landschaftów pojawiły się nowe, zupełnie inne, religijne, które odkupiła od tych przyjezdnych. Na korytarzu piętrzą się teraz stosy niemieckich książek, kartony i sprzęt lekarski wyniesiony od nas i z gabinetu na dole. W końcu to wszystko zaczęliśmy przenosić do suterenu i między tymi tym wszystkim zacząłem urządzać sobie własny kąt.

I tak ja, Walter, znalazł, przybrane niemieckie dziecko, znalazło tu swoje miejsce do życia. Stare biurko, szafa i różne cenne rzeczy pozostawione przez lekarza należą teraz do niego. Zamyka za sobą drzwi na klucz i zaczyna przeglądać zdobycze, wszystko po kolei, każdą rzecz bierze do ręki i dokładnie ogląda. Znajduje jakiś karton z kolorowymi przezroczkami i podłącza rzutnik:

„Leitz Wetzlar –Wundertechnik” długo czekał na tą chwilę i lśni jak nowy w drewnianym mahoniowym pudle wyłożonym zielonym filcem. Na kawałku białej

ściany na chwilę wraca czas, ożywa dom sprzed kilku lat, przed domem pojawia się ten lekarz, jego rodzina, uśmiechnięte twarze, żona i dwie córki na schodach. A on w mundurze Wehrmachtu, ale to przecież nic nie znaczy, przecież wtedy każdy mężczyzna miał mundur, jego ojciec też. Jest przecież rok 1943.

A teraz zdjęcia w ogrodzie zimowym i przy stole! Dziewczynki ubrane w Dirndl – i jeszcze raz ich twarze, które patrzą w obiektyw. Za chwilę miasteczko prezentuje się w lecie, spacerzy niedzielne, na kuracjuszy czekają dorożki, pięknie sfotografowane na błonach *Agfacolor Umkehr*.

A teraz zima! Śnieg, sanki. Poznaje – przecież ta droga to Hollenweg!, tu, zaraz za parkiem! Do „Piekiełka”, tak się teraz nazywa. Setki kolorowych przezroczy! Zupełna idylla, szczęśliwa rodzina. Walter nagle zaczyna tęsknić za ojcem i mamą... i czuje, że płacze, ale przecież jest jeszcze dzieckiem, więc może płakać. Nikt go tu nie zobaczy.

Marta musi teraz spędzać czas po lekcjach sama, bo Walter całymi dniami siedzi w swojej suterenie i przegląda rzeczy lekarza, znajduje listy i mnóstwo drobiazgów. Dlaczego tego nie zabrali ze sobą? Zastanawia się, gdzie oni teraz są, gdzie mieszkają i czy tu wrócą?

Dopiero w sobotę rano ktoś dzwoni do drzwi. W progu stoi Igor i przyprowadza ze sobą, Sidiego. Od kilku dni siedzę z nim w jednej ławce, a on jest ciekawy moich skarbów.

Wchodzą do środka i Walter pokazuje im co znalazł. Zafascynowani nie wiedzą gdzie patrzeć, otoczeni stosami książek, obrazów, różnych aparatów medycznych, zbiorami owadów i motyli, jest jeszcze kilka różnych szkieletów jakiś zwierząt. Sidi stoi w szoku, z otwartymi ustami, a jego pewność i arogancja nagle gdzieś się ulotniła. Zaniemówił z wrażenia.

Sidi pojawił się w szkole kilka dni temu. W czasie lekcji religii nagle słyszymy pod oknami głośny warkot motoru, wylegamy do okien i od razu jest gotowa sensacja. Pod szkołę podjeżdża motocykl, a tu od lat nikt motocykla nie widział. Schodzi z niego wysoki, szczupły chłopak w okularach i skórzanej pilotce, a po chwili wchodzi z kierownikiem szkoły do naszej klasy. Nauczycielka pokazuje mu wolne miejsce

w mojej ławce i teraz wszystkie oczy zwracają się na nas. Teraz widać jak jest niesamowicie wysoki i chyba musi być od nas dużo starszy.

- Sidi, – przedstawia się na przerwie łaskawie ściskając nam po kolei dłonie. Od razu mówi, że jest żydem i przyjechał tu z Rosji, z Kazachstanu.

– Bo ojca przenieśli tu służbowo, – tłumaczy, – ale pewnie w takiej dziurze długo tu nie wytrzymamy.

Sidi musi być zawsze najważniejszy, imponować, a przy każdej okazji opowiada fantastyczne historie i co widział w Rosji. Pewnie zmyśla, ale naszym dziewczynom się to podoba i słuchają go zafascynowane. Tylko Marta nie okazuje mu uwielbienia. „Klugscheisser” mówi na niego, a on się na nią wścieka, bo nie wie, co to znaczy.

Kiedy jest z nami, nie może oderwać od niej wzroku. Kiedy idziemy na cmentarz do naszego Ramshorna, często chodzi z nami. Siedzimy rozwaleni na ławce przy jego grobie i rozmawiamy, albo czytamy na głos z książki do języka polskiego. On z tego nic nie rozumie, ale siedzi i patrzy na Martę.

Przy każdej okazji chwali się, że jego ojciec jest ważnym komunistą, przez całą wojnę jeździli po Rosji, opowiada o swoich przygodach i podróżach po Syberii i Kazachstanie, o polowaniach w tajdze na białe tygrysy i podróży małym statkiem w górę Jeniseju.

– Lepsza od Syberii jest tylko Palestyna i już pewnie niedługo tam wyjedziemy.

Na stałe, podkreśla. Jak zasłużycie, to będę wam przysyłał widokówki, – obiecuje.

– A właściwie co robi ten twój ojciec? – pyta Igor.

– Dostał skierowanie służbowe i ma tu zrobić porządek - z Niemcami. W tych górach ich się jeszcze dużo ukrywa i uciekają z tej kopalni uranu koło Stronia. Nie sposób ich upilnować. Teraz on tu rządzi i jak będzie chciał, to was też może pozamykać - do kicia, cedzi z satysfakcją. Ja Niemców nie cierpię – mówi przez zęby – bo ciągle pokazują, że są lepsi. Ale teraz ich tam pozamykali na Syberii w obozach i pracują jak się należy.

– Widziałeś ich? – pyta Marta.

– Na własne oczy. Siedzą za drutami i tak ma być – patrzy przy tym na Igora i na mnie.

– A nie widziałeś tam przypadkiem Wolfganga? – pyta Marta.

- Jaki Wolfgang? Kto to jest? Pyta czujnie.

- Mój brat. Odwraca się nagle i odchodzi, nie czekając, co odpowie.

Po lekcjach dzieci wracają grupkami do domu, nie spieszą się, mają czas. W domu nie ma wiele zajęć. Walter, Igor i Marta włączają się najczęściej koło sanatorium numer jeden i obserwują podjeżdżające dorożki konne. Pacjenci leżą na tarasie przykryci grubymi kocami i się opalają. Kawatek dalej jest źródło wody mineralnej i można przy nim zawsze spotkać jakiś kolegów z klasy. Wszyscy się wygłupiają i polewają tą wodą, a Sidi jak zwykle na czele. Od razu został przedstawicielem samorządu uczniowskiego i zaczął się rządzić. Ale wszyscy go słuchali, bo miał wszędzie wejścia i zabierał nas ze sobą. Wiedział, gdzie można się jeszcze zakraść i znaleźć jakiś skarb. Znaleźć! To jest źle powiedziane, ukraść! Wszystkie dzieci po lekcjach chodziły po różnych polanickich zakamarkach i szukały skarbów.

–A co teraz robicie, szwabry? – pyta, kiedy stoimy przed lodziarnią, – bo my idziemy właśnie do cyganów, popatrzeć co robią, idziecie z nami?

Cyganie to było coś specjalnego, innego. Tylko oni nie przyjechali tu pociągami, ale przyszli pieszo, przez góry, taborami. Ich cały dobytek mieścił się w małych dwukołowych wozach. Znali doskonale góry i pewnie ta znajomość była źródłem ich dochodu. Przez te kilka powojennych lat ich tabory były przez cały czas w drodze. Mieszkania zajmowali tylko na parterze i w suterrenach. O ile nie padało, to mieli zawsze wszystko pootwierane na oścież i wtedy mogliśmy zaglądać do środka. Nie wyganiali nas. To było nawet ciekawe, bo czasem udało nam się zobaczyć jak siedzieli w kręgu, na dywanach i się chyba modlili. W środku stała duża metalowa czara i co jakiś czas ktoś lekko uderzał w nią drewnianą pałką. Tego dźwięku nie da się zapomnieć, taki był przenikliwy mimo tych dywanów. Ich izby były całe wyłożone dywanami, na podłogach i ścianach wszędzie tylko dywany i obrazy z tych ponemieckich mieszkań. No i dziesiątki różnych kolorowych poduszek których używali zamiast krzesel. Podchodzimy teraz ostrożnie pod jeden z tych dużych pensjonatów. Mieszkali tam w podwórzu, w przerobionym na mieszkanie garażu.

– Cygan, Cygan! – wydziera się Sidi na całe gardło, a my za nim. Potem rzucamy do środka kamieniami i szybko uciekamy.

– Co za kretyni, podsumowuje Marta, – dwie cyganki chodzą przecież do naszej klasy i one są w porządku. Jutro ich rodzice przyjdą do szkoły i będzie problem. Będą się teraz na nas mścić. Nie znasz ich?

– przewiozę je motorem po parku i będzie załatwione, – odpowiada krótko.

Sidi codziennie przyjeżdża do szkoły na swoim motorze, bo dziewczyny chcą żeby je po lekcjach woził. Stoją przed szkołą w kolejce, a on z każdą robi rundę po parku. Pewnie lubi kiedy siedzą z tyłu i kurczowo go obejmują, ze strachu. Stoimy z nimi i oglądamy ten motor z bliska. Jest piękny.

– Wiecie w ogóle, co to jest? co to za maszyna? to jest prawdziwy K-750, ojciec dostał specjalne zezwolenie, żeby go tu przywieść „na mienie”. Nie ma lepszego.

Ale Marta wyczekała chwilę, patrzy mu prosto w twarz i cedzi powoli przez zęby:

– Mój tata miał lepszy, - a wszyscy cichną, - BMW, schował go przed ruskimi, ale nic to nie pomogło, bo go znalazły i zabrały. Teraz tam pewnie gdzieś jeździ po tych twoich gównianych kołchozach.

Sidi patrzy na nią i mówi sucho:

– BMW brali tylko do Moskwy, do centrali. A ciekawe skąd twój ojciec go go miał? stał sobie tak w sklepie?

Któregoś dnia Marta zaprasza nas i jeszcze dwie dziewczyny z klasy na niedzielę, na podwieczorek, w gości. Jej dom to duża willa w uliczce na wzgórzu w parku, zaraz na prawo za fontanną Apolla. Furtka do ogrodu jest wyrwana, więc od razu znajdujemy się w korytarzu i pukamy do jakiś drzwi. Otwiera starsza kobieta w chuście i Walter pyta o Martę. Kobieta rozumie słabo po polsku, więc włącza się Sidi i pyta po rosyjsku. Marta musiała już usłyszeć nasze głosy, bo wychodzi na korytarz.

– To nowa sąsiadka, – tłumaczy, – chodźcie, ojciec jest jeszcze w pracy. Prowadzi ich do piwnicy, obok domowej kotłowni przerobionej na prowizoryczne mieszkanie. Marta urządziła sobie tu kąpiel. Przed nami przyszły już dwie dziewczyny z naszej klasy z którymi Marta zaczęła się kolegować. To były cyganki i siedziały ciasno, razem w kącie onieśmiałe nową sytuacją. Marta nastawia patefon i na cały dom słyhać teraz stare, niemieckie przeboje.

- nie masz innej muzyki? - pytają dziewczyny.

- no, nie. Amerykańskich nie można było kupić, to tańczyliśmy przy takich. Zapanowała niezręczna cisza, więc Marta zaczęła sama tańczyć w rytm jakiegoś szlagieru o nieudanej randce, ale po chwili przestaje bo Sidi wyskakuje z propozycją do cyganek.

- Wy przecież cały dzień nic nie robicie tylko tańczycie i śpiewacie. To może byście coś zaśpiewały? Cygańskie dziewczyny spoglądają chwilę po sobie i zaczynają śpiewać jakąś pieśń ludową, na dwa głosy i to tak, że przechodzą nam ciarki po plecach.

Marta stawia na stole ciasto, – upiekłam dla was Blechkuchen – oznajmia. Chłopcy rzucają się do stołu i odkrawają sobie po kawałku. Igorowi podoba się jedna z tych dziewczyn, widać to od razu, więc niezręcznie próbuje nawiązać z nią rozmowę, a dziewczyna namawia go żeby spróbował ich ciasta które upiekła ich mama. Wygląda ono zupełnie inaczej. Igor i Walter próbują, - dobre, pierwszy raz takie widzę. A Sidi przez cały czas usiłuje zwrócić na siebie uwagę Marty.

Kiedy pyta ją dlaczego mieszkają w piwnicy, Marta jest trochę zażenowana.

– Nasze mieszkanie jest u góry, na piętrze, ale musieliśmy je oddać tym Polakom. Odwraca się teraz do Waltera - ty miałeś więcej szczęścia, bo twoja Władka to jest Polka i to mieszkanie jej przysługuje, a nam nie. Was już nie mogą wyrzucić od tego lekarza, a z nami to niewiadomo.

– Chyba żeby wrócili. Wszyscy mówią, że Niemcy wrócą – mówi Igor

– Władka też mówi, że ten jej lekarz może jeszcze wrócić – potwierdza Walter.

– Doktor Schlegel? Nigdy – mówi zdecydowanie Marta.

– Dlaczego? Znałaś go? – pyta Sidi

– Wszyscy go znali, ojciec mówił, że jakby nie uciekł, to by go tu zabili.

- Ciekawe dlaczego, stwierdza Sidi.

- podobno ten dom nie należał do niego, – chcecie kakauschale? Marta zmienia temat.

– A co to jest? – pyta Sidi. Bierze filiżankę i próbuje – w Kazachstanie było takie same, ale jak chcesz, to jutro przyniosę ci prawdziwe kakao, mamy nawet prawdziwą kawę – mówi protekcjonalnie.

To mów, jak to było z tym Schlegelem.

– nie wiem, doktora Schlegela pamiętam bo tata się z nim kolegował i grali razem w tenisa. Ale te jego córki, dwie zarozumiałe kozy – mówi dalej Marta – byłyśmy razem w BDM, a one ciągle się popisywały, przebierały się za chłopaków i latały po mieście w mundurach polowych Wehrmachtu, dla zgrywy.

- Moje gratulacje - mówi Sidi do Marty i na koniec chwali jej gościnność - dobra organizacja. Może teraz u mnie coś zrobimy? ale nie wiem czy ojciec mi pozwoli, bo do nas nie wejdziecie, trzeba będzie zorganizować wam jakieś przepustki. Ale przypomnij mi jutro o kawie.

Kiedy wszyscy poszli do domu, zostaliśmy sami i Marta zrobiła się jakby skrępowana, nie wiedziała jak się zachować, – nie mówiłam ci, ale mam dzisiaj urodziny i stąd to zaproszenie – przytula się do niego i całuje – kochasz mnie? Bo ja tak. Ale dziewczyny nie powinny tego mówić pierwsze, prawda?

Kiedy go objęła, poczuł, że uginają się pod nim kolana. Ciągnie go lekko za rękę do drugiego pokoju.

– Chodź tu, ale nie gniewaj się. Chciałabym, żebyś mi zrobił prezent – otwiera szafę po brzegi wypełnioną starannie poskładanymi ubraniami.

– To są rzeczy Wolfganga i nie chcemy ich wyrzucać. Szkoda by było, bo takich rzeczy nikt tu nie ma. A tobie będą pasować, macie tę samą figurę – przekonuje.

– Chciałabym cię ładnie ubrać i poszlibyśmy na spacer. To będzie prezent urodzinowy od ciebie, dla mnie. Walter siada w fotelu i obserwuje, jak Marta wyciąga z szafy ubrania brata, ogląda je i starannie układa na łóżku.

Potem podchodzi do niego, siada na oparciu fotela i zaczyna rozpinać mu koszulę.

– Nie bój się, nic ci nie zrobię – obejmuje go i siada na jego kolana. Całują się, a po chwili leżą nago na łóżku. Walter zgarnia jeszcze porozkładane tam ubrania na podłogę.

Marta chciała się ze mną pokazać. Ubrała się niezwykle elegancko, ubrała nawet jakiś kapelusz

z piórkiem, a ja miałem teraz na sobie piękny sportowy garnitur i lekki płaszcz jesienny.

W naszych strojach musieliśmy chyba wyglądać jak z innej planety, bo kiedy szliśmy do Doernerów na lody to każdy musiał się za nami oglądnać. A Marta była wtedy szczęśliwa.

Zbliżał się wieczór i w „Parkowej” zaczyna się niedzielny dancing. Przed wejściem gromadzą się ludzie żeby obserwować tańczące w środku pary. Nie jest to trudne, bo cała jedna ściana i nawet sufit są oszklone i widać dokładnie całą salę.

- Pięknie tu jest, prawda? Altheide jest piękne, mówi i patrzy na Waltera. Chodź, wejdziemy na chwilę. Ale on nie umie tańczyć i Marta chyba tylko dlatego nie nalega.

Długo stoimy na zewnątrz, patrzymy do środka przez okna i komentujemy tańczące pary kiedy orkiestra gra stare polskie szlagiery. Najważniejszy w orkiestrze jest akordeonista który siedzi wysunięty całkiem z przodu.

Piękne Altheide pozostało nietknięte przez wojnę, a teraz powoli przekształca się w Polanicę, umarł niemiecki świat i rodzi się nowy, polski.

Jesień zaczęła się już na dobre i szybko robi się ciemno. Wieczory cała trójka spędza teraz

w suterenie u Waltera. Często wpada też Sidi. Razem przekopują kartony, szafę i biurko, znajdują jakieś tajemnicze aparaty, po kolei odkrywają tajemnice doktora Schlegela.

Wkładają do mikroskopu małe zakurzone szybki, zaschnięte preparaty owadów i widzą, że na tych martwych szkiełkach jednak coś się rusza. To mogą być tylko bakterie! Sidi jest podekscytowany, nacina sobie palec, rozmazuje na szybce kropelkę krwi i patrzy zafascynowany przez okular:

– Popatrz tutaj, to jest krew! Krew ! To tak wygląda?

Igor znajduje jakiś aparat z korbką i dwoma miedzianymi drutami. Daje mu je do potrzymania.

–Potrzymaj to chwilę – mówi z niewinną miną i zaczyna szybko kręcić korbką. Sidi czuje, jak przez jego ciało przechodzi prąd i przyjemnie łaskocze. Ale ubaw! Teraz już wszyscy chwytamy te druciki, łapiemy się za ręce a Marta kręci korbką jak szalona. Prąd przechodzi po naszych rękach, od jednego do drugiego i łaskocze. Śmiejemy się jak szaleni.

Kiedy Władka ma popołudniową zmianę, wtedy chłopcy sięgają po ciężkie książki lekarskie. Marta oczywiście nie może się o niczym dowiedzieć. Chłopcy jeszcze nigdy nie widzieli nagiej kobiety, no tak dokładnie.

Z wypiekami na twarzy oglądają ilustracje, kolorowe zdjęcia fragmentów ludzkich ciał. Ale na nich widać jeszcze jakieś wrzody, czerwone plamy i pryszcze. Sidi nie byłby sobą, nie może znieść, kiedy choć przez chwilę się o nim zapomina. Nagle wyciąga z kieszeni mały rewolwer. Kładzie go na jakiejś ilustracji zwłok i z udawaną obojętnością czeka na naszą reakcję. Czuję nagle jakiś dziwny strach, sztywnieję ze strachu, jakbym za chwilę miał umrzeć. Przede mną leży książka którą sobie właśnie otwarłem i duże kolorowe zdjęcie jakiś obfitych kobiecych piersi, a tuż obok, w półmroku, kątem oka widzę ten pistolet. Ale Igor jest jak zawsze przytomny i zauważył jak zbladłem. Wstaje, spokojnie podchodzi do wyłącznika i zapala światło.

Żarówka znajduje się dokładnie nad głową Sidiego, a kiedy światło rozbłyśka, czar pryska i strach nagle znika. Ale Sidi nadal nie spuszcza z nas wzroku, jakby na coś czekał, ale my dalej nie reagujemy, wtedy poddaje się i niechętnie chowa rewolwer z powrotem do kieszeni.

– Ojciec mi go dał na wszelki wypadek, mówił żebym go cały czas nosił przy sobie – wyjaśnia, – ale jak chcecie, to jutro pokażę wam coś lepszego niż te szwabskie dupy. Ale to ma być tajemnica, musicie obiecać, że nikomu w klasie nie powiecie. Umawiają się następnego ranka koło dworca. Jest niedziela i wczesnie rano. W górach widać poranne mgły, zaczyna się listopad i poranki robią się chłodne. Na ścianie dworca widać jeszcze niestarannie zamazany farbą napis: Altheide Bad/Krs.Glatz. Dworzec jest pusty, żadnego człowieka, ale na bocznym torze stoi pociąg, już bez parowozu. Kilka dni temu przywiózł tu sześćdziesiąt cztery rodziny z Ukrainy. Wagony są wprawdzie towarowe, ale z każdego wystaje dymiąca rura od piecyka, każdy wagon musi mieć piecyk, bo grzeje i można na nim coś ugotować. Chłopcy widzą, że w niektórych wagonach drzwi są odsunięte i w środku widać jakiś ludzi. To są pewnie ci, którzy teraz chodzą po całej okolicy i szukają dla siebie jakiegoś gospodarstwa. Coraz trudniej jest coś znaleźć, więc na razie pomieszkują w pociągu.

Sidi prowadzi nas ostrożnie od drugiej strony na koniec pociągu, cicho okrążają ostatni wagon. Wspinają się do budki hamulcowego, Sidi wchodzi po drabince aż pod daszek, otwiera mały wywietrznik, daje znak ręką, żeby weszli. Wchodzą.

–Ten wagon jest ostatni w składzie, a w tych pociągach ostatni wagon nazywa się zawsze „specjalny” – mówi szeptem – we wszystkich pociągach, które idą tu ze wschodu. Taki pociąg jedzie tu więcej jak miesiąc, też takim jechaliśmy, to wiem. I dlatego w składzie musi być wagon miłości! Kiedy ludzie tak długo jadą, to chcą się kochać, a gdzie mają to robić? O tu, popatrzcie, przez to okienko.

Igor i Walter próbują coś rozpoznać. Wzrok powoli przyzwyczajają się do ciemności i teraz widzą. Jest! Drewniana prycza i słoma przykryta kocem. Ktoś na niej leży, słychać stękanie, a potem ciche krzyki kobiety. Chłopców nie da się oderwać od okienka i Sidi powoli się niecierpliwi:

– Wystarczy, koniec na dzisiaj. Pociąg będzie tu stał jeszcze parę dni. Idziemy, bo ludzie będą za chwilę wychodzić do kościoła i mogą nas nakryć. Po chwili rzeczywiście słychać bicie dzwonów.

Z wagonów ktoś wystawia krzesła i jak po stopniach wychodzą po nich kobiety, odświętnie ubrane, w długich kolorowych spódnicach w paski i czerwonych czepkach na głowie.

Walter pyta Igora:

– Hast du schon mal solch komische Klamotten gesehen?

–Znowu gadacie po szwabsku? – strofuje Sidi.

Ludzie z wagonów idą w stronę miasta w kierunku, z którego słychać bicie dzwonów.

W szkole jest teraz nowa nauczycielka rosyjskiego i codziennie mają z nią lekcje. Chyba nie jest całkiem normalna bo gada od rzeczy, bez przerwy opowiada nam, jak to pięknie jest w Związku Radzieckim. Jak w raj. Przychodzi na lekcję z mandoliną i śpiewa tęskne rosyjskie piosenki. Potem musimy się ich uczyć na pamięć i cała klasa powtarza głośno teksty zwrotek.

Igor nienawidzi rosyjskiego, a Sidi rzuca nagle z uśmiechem:

–To zaśpiewajcie jej na złość coś po niemiecku. Zobaczmy, co zrobi.

– *Häschen in der Grube?* – od razu podchwytuje Marta i zaczyna cicho śpiewać.

– „*Häschen in der Grube, saß und schlief. Armes Häschen bist du krank, dass du nicht mehr hüpfen kannst?*“, śpiewa wesoło.

Sidi przerywa. No, może być, jak to usłyszy to się wścieknie – zastanawia się jeszcze przez chwilę, – wścieknie się i poleci do kierownika szkoły, a ten ją opieprzy, że nie panuje nad klasą. I wtedy dostaniemy jakąś inną, bardziej normalną. Jak zaśpiewacie, to macie u mnie nagrodę!

– Jaką?

– Mam na oku taki jeden grób – mówi tajemniczo – i tam są na pewno skarby. Mam w domu kilka granatów, zorganizowałem je u ojca w komendzie, to go rozwalimy. A jak je już wyciągniemy, to bierzecie połowę.

– Skarby w grobie ?

- Wy jak zawsze bez pojęcia. Oni tam mają pierścionki i złote zęby. Teraz to normalne, wszyscy kopią i są bogaci.

Następnego dnia pomiędzy jedną i drugą zwrotką *Podmoskiewskich wieczorów* zaczynamy nagle śpiewać *Häschen in der Grube*, wydzieramy się na cały głos. Klasa zamiera i nikt nie wie, o co chodzi, oprócz nas nikt przecież nie zna niemieckiego. Nauczycielka od rosyjskiego sztywnieje kiedy troje niemieckich dzieci z ostatniej ławki nagle zaczyna głośno śpiewać o zajęczku śpiącym w rowie. Ale ona też nie zna niemieckiego, słyszy tylko jakiś niemiecki bełkot. Wydaje przeraźliwy, histeryczny krzyk i z obłędem w oczach wybiega z klasy.

– Hitlerowcy! Milicja! – długo słychać ją jeszcze na korytarzu. Chwilę później w klasie odegrały się sceny, których nie da się zapomnieć. Zbiegła się cała szkoła, a kierownik i nauczyciele, gdyby mogli to by nas zlinczowali.

Kiedy milicja wyprowadza nas ze szkoły, kątem oka widzę w oknie Sidiego jak się uśmiecha. Najpierw zabierają nas na posterunek, ale Martę od razu zwalniają do domu. Zostajemy tylko ja i Igor. Uważają nas za szpiegów i zaczynają się długie przesłuchania w Urzędzie Bezpieczeństwa. Potem zawożą nas do Wałbrzycha do aresztu dla nieletnich. Niespodziewanie zostaliśmy przestępcami i siedzimy w śmierdzącej, zapchanej do ostatniej pryczy, zbiorowej celi.

– Patrzcie! Niemiaszki! A za co was złapali? – dopytują się agresywnie chłopaki w celi, a my nie wiemy co na to odpowiedzieć. Pytają więc strażników, a ci mówią że jesteśmy szpiegami, groźnymi niemieckimi szpiegami.

To był przełom, bo od tej chwili wszyscy okazują nam wielki respekt, częstują papierosami i przemyconym bimbrem po którym rzygamy bez przerwy.

Opowiadają nam niesłychane rzeczy o których nie mamy najmniejszego pojęcia. O tajnych kopalniach uranu w górach, bandach i mordach, tajnej milicji i "Krwawym Olo" - to taki pólkownik z Polanicy, tłumaczą. A my?, groźni szpiedzy nic o tym nie wiemy? więc od razu zadzieramy nosa żeby się nie wydało.

Wypuszczają nas już po tygodniu, tak samo nagle jak tu przyszliśmy i chyba tylko dlatego, że ten areszt jest kompletnie przepełniony i nie ma dla nas miejsca. Przywożą nas z powrotem do Polanicy, ale do szkoły nie możemy już wrócić. Po tej aferze na dalsze wygłupy straciliśmy zupełnie ochotę, jesteśmy załamani. Nikt nie wie, co z nami zrobić, więc po południu zabijamy czas w kinie albo na cmentarzu obok grobowca naszego Ramshorna, a przed południem czytamy książki z biblioteki po tym lekarzu.

To jest nasz ratunek. Książki mają piękne ilustracje i złoczone okładki, ale to nie wystarcza żeby przeżyły. Dostały wyrok za to, że są napisane nieznanym pismem, w języku, którego nikt tu nie rozumie. A my jesteśmy ich ostatnimi czytelnikami, ostatnimi, którzy przed ich śmiercią wezmą je do ręki. Zaczynają się mrozy, więc zostały skazane na spalenie. Leżą stosami przy ścianie, zaraz obok pieca centralnego ogrzewania i czekają na egzekucję.

Tej zimy całe Altheide będzie opalane niemieckimi książkami.

Marta odwiedza nas codziennie, żeby przerabiać z nami materiał szkolny. Kiedy ślęczymy w jej zeszytach, z nudów szpera w stosach kartonów a kiedy je odsunęła, pod ścianą odkrywa pianino. Nad klawiaturą jest tabliczka „Franz Liehr –Liegnitz N/S” – to nie jest tak daleko stąd, N/S to przecież jest Niederschlesien, Dolny Śląsk. Znalazła zaraz jakieś nuty i zaczęła ćwiczyć. Lepiej wychodziły jej jednak wolne kawałki, przy szybkich się gubiła.

„*Ade zur guten Nacht*” – śpiewa pierwszą zwrotkę.– „*Jetzt wird der Schluss gemacht, dass ich muss scheiden...*” ale dalej nie pamiętam – mówi.

– Zapomniałam, – a to takie piękne!

Czas upływał, a Władkę dalej wzywają z naszego powodu na przesłuchania. Któregoś dnia przychodzi zapłakana i mówi, że będziemy musieli zwolnić nasze mieszkanie. Cały wieczór siedzimy razem w kuchni, a Władka płacze. To wszystko przeze mnie, przez naszą głupotę.

Następnego dnia wcześnie rano do drzwi dzwonią dwie młode kobiety i pokazują jakiś papier.

To są te nowe, którym musimy oddać nasze mieszkanie, ale Władka nie poddaje się tak szybko i udaje jej się uprosić żeby nas nie wyrzuciły na ulicę, na mróz. Będziemy mieszkać w suterenie, a ona będzie im za to sprzątać.

W górach spadł już pierwszy śnieg a my przenosimy się teraz na dół, do piwnicy, ale najważniejsze to jest, że mamy ciepło. Nasze mieszkanie u góry zamienia się teraz w klub nocny. W domu zaczęło się nocne życie rozrywkowe o jakim się nikomu nie śniło, a drzwi się nie zamykały. Do tych dwóch kobiet przychodzi mnóstwo jakiś facetów, nie wiadomo, skąd i gdzie się nagle ich tyłu wzięło.

–To sami tajniacy z UB – mówi Władka. Widziała ich już wcześniej na posterunku, kiedy ją przesłuchiwali. Ale któregoś dnia czeka nas kolejna niespodzianka. W mieszkaniu na piętrze zapanowała nagle kompletna cisza. Imprezy ustały, drzwi są zamknięte i nie widać żadnego ruchu. Morderstwa są teraz na porządku dziennym, więc z duszą na ramieniu idziemy na parter do sąsiada po pomoc.

Kiedy wszedł tam jakoś przez okno, byliśmy przygotowani na najgorsze, lecz mieszkanie wyglądało dokładnie tak samo, jak je opuściliśmy. Kobiety zniknęły tak szybko, jak przyjechały. Wyjechały gdzieś w nieznane, nie zostawiając po sobie najmniejszego śladu. Wracamy więc z powrotem na górę, jednak po nocach długo jeszcze nad słuchiwaliśmy czy nie wracają. Nikt więcej się jednak nie pojawił.

Władka ściągnęła teraz z Cimuszowej swoją młodszą siostrę Wandę, bo w Altheide zrobiło się jak na dzikim zachodzie. Na ulicach grasowały całe grupy szabrowników i zwykli uzbrojeni bandyci. Wanda na zmianę z sąsiadem z parteru w nocy pilnowali domu. Siostry były do siebie bardzo podobne i umiały gospodarować. Ta ich Cimuszowa to była dobra szkoła. Nasz dom błyszczący znowu jak dawniej i stał się jak forteca, nie do zdobycia. W trójkę czujemy się teraz bezpiecznie.

Ale my dalej nie chodzimy do szkoły, włóczymy się z Igorem po ulicach i zabijamy czas, a kiedy leje siedzimy u mnie w domu. I tak wpadło mi do głowy, że w domu musi być przecież jeszcze strychn. Nigdy nie wchodziłem na poddasze, bo żeby się

tam dostać, trzeba było przystawić drabinę, ale nigdzie żadnej nie było.

Przynieśliśmy z Igorem jakieś skrzynki z ogrodu i się tam jakoś wdrapaliśmy. Potem trzeba było otworzyć jeszcze małe masywne drzwi, a kiedy i to się udało, zobaczyliśmy tylko zupełną ciemność, czarną dziurę. Nie było światła, a okna były czymś zastawione. Daliśmy więc spokój.

Walter zapada jakby w letarg, przesiaduje w kuchni i milcząco przygląda się jak Wanda gotuje.

A ona w przeciwieństwie do Władki lubi mówić. I tak dowiaduję się historii ich rodziny. Wanda opowiada o wojnie i Cimuszowej. Niewiele z niej zostało, czego nie spalili Niemcy, to zniszczyli Rosjanie. Z jej rodziny nikt nie przeżył.

– Dziś wyszło słońce a dawno nie odwiedzaliśmy Ramshorna – mówi Igor.

– Może przyjdzie też Marta a za nią pewnie też Sidi. Nie odstępuję jej przecież na krok.

– Nie cierpię tego kacapa, – mówię.

Walter i Igor już siedzą oparci o ścianę grobowca i łapią na twarz resztki skąpego słońca.

Mija południe, a o tej porze kończą się lekcje, Marta powinna zaraz tu być. W końcu ją widzą. Już z daleka uśmiecha się, a oni pytają o nowości.

– Tę nauczycielkę od rosyjskiego przenieśli do innej szkoły, do Glatz, – mówi szczęśliwa. Mamy mieć teraz więcej polskiego, bo ci nowi nie chcą się uczyć i dalej gadają tylko po jakimś tam. Przywieźli nam nowe podręczniki, ale oni nie potrafią nawet czytać! To jest katastrofa. A jeszcze mój ojciec mówi, że ma się zacząć nowa wojna bo w górach zaczynają się organizować oddziały niemieckie.

Rozmawiamy teraz o Sidim i Marta mówi, że przez ten cały czas jak siedzieliśmy w Wałbrzychu to się do niej mocno dostawiał i brał na wycieczki razem z jego ojcem.

- Prawie codziennie jeździliśmy jego służbowym jeepem po górach, a on się ciągle o coś wypytywał, przede wszystkim o doktora Schlegela i mojego ojca. Zaczęłam się go już bać.

–Ten pomysł z tą piosenką pewnie wymyślił, żeby się nas pozbyć, a my daliśmy się na to nabrać, mówię.

– że cię wtedy od razu zwolnili to nie był przypadek, mówi Igor - musiał to wcześniej załatwić ze swoim ojcem. To było wszystko wcześniej dobrze

obmyślane. O jego ojcu i jego okrucieństwie krążą tu legendy, Igor mówi dalej, -

chłopcy w więzieniu opowiadali nam ze szczegółami. Podobno duża grupa Niemców uciekła z kopalni Uranu i się organizuje w górach. Mówili, że wiedzą kto za tym stoi. To jest były komendant Gestapo z Altheide, ale nikt nie wie gdzie on się teraz ukrywa. Robili na niego obławy, ale bez skutku. A Sidi poszedł w ślady ojca i mu wszystko donosi. Nikt nie zauważył że Marta zbladła jak papier, ale bierze się w garść i przeklina

– Ten Arschforscher, Ogerlurch, Frauenverstehher! – jest wściekła, że tego nie skojarzyła.

–Cicho, bo idzie – mówi Igor. Widać go, jest już niedaleko w alei cmentarnej. Chwilę później Sidi jest już przy nas i uśmiecha się szeroko.

–O, widzę, że już was wypuścili z kicia, to trzeba uczcić, a wy tu jak na pogrzebie, - zaczyna.

- Jesteśmy w końcu na cmentarzu, więc wszystko pasuje, mówię.

– No i jak tam było? pyta Sidi.

– Pięknie, tylko krótko – odpowiadamy zgodnie – poznaliśmy tam dużo ciekawych chłopaków i oni mieli nam dużo do opowiedzenia, takie znajomości na pewno nam się teraz przydadzą.

–Żeby ci skuć twoją Fresse, - Igor nie wytrzyma.

– I dużo z nich zna nawet przypadkiem twojego ojca. To ten pułkownik Weinsztein?, "Krwawy Olo"? słyszałeś pewnie, no nie? Nie sądzę, żeby tu długo pożył, bo wszyscy mają na niego oko. Zrobią mu grobowiec o tu, zaraz obok, pokazuje na grobowiec Ramshorna. Będą leżeli obok siebie, jak koledzy z pracy, będzie pasowało, – mówi ironicznie Walter.

–A co macie do mojego ojca? że robi tu z wami porządek? – warknął Sidi - ktoś to musi robić, a jak było tu za Adolfa ?

–Dobrze sobie to wymyśliłeś.

–Żeby się nas pozbyć ? robiliście sobie wycieczki po okolicy? z Martą ? po co ? krzyczę.

–A co? Nie podoba się? Nie pasuje, bo wróciła tu Polska? Te szwabki zrobiły się bezczelne – krzyczy teraz histerycznie Sidi.

– A co masz do nas? – krzyczymy na zmianę. – A wy kacapy, to co? Polacy? ruskie przebierańce! Nawet nie umiecie czytać po polsku! Kto w klasie zna polski? nikt! I to mają być Polacy?

-Czego wy tu szukacie? – jak tu wrócimy, to bilet powrotny do ruskich masz pewny, miejsce leżące, w pierwszej klasie!

– wot-bładź, jebana!, to wystarczy, na Syberię! Z wami wszystkimi! Mój ojciec wam to załatwi!, Sidi już wyje na cały głos, bez żadnych hamulców – ja was nienawidzę!

– a ja żydów! – syczy Marta – w szkole bez przerwy nam o was gadali i mieli rację, *dreckige Juden*. A to, co to jest? –pokazuje na grobowiec Ranshorna. Kto go zabił, jak nie wy? Komuniści. Arschlöcher!

– taak? twój ojciec pewnie lepiej wie, kto. Nie wiem, dlaczego was wypuścili, ojciec mi mówił, że będziecie tam gnić do końca życia, krzyczy teraz do Waltera, - albo zrobimy jak z twoim ojcem- kula w łeb i po wszystkim ! – Sidi wrzeszczy.

– Coo? Ty coś wiesz!, gadaj! Walter rzuca się na niego ślepy z wściekłości, ale nie ma szansy. Wtedy Igor rzuca się na pomoc, bo widzi jak Sidi wyciąga z kieszeni swój mały pistolet. Marta krzyczy:

– Walter, uważaj on ma broń! Uważaaaj! – krzyczy i w szarpaninie pada strzał. Sidi strzela, było to kilka strzałów, ale Igorowi udaje się w ostatniej podbić jego rękę i strzały idą chyba w górę. Odskakujemy przerażeni, a Marta łapie się za rękę, krew zalewa jej bluzę. Stoi blada jak papier i osuwa się na ziemię, wszyscy zastygamy w przerażeniu. Stoimy jak skamieniali i nie wiemy co dalej, ale Sidi zachowuje zimną krew. Nikt by nie przypuszczał, że może mieć tyle siły.

Przerzuca Martę przez ramię i biegnie ile sił przez ulicę, do szpitala.

Zaczęły się śniegi, a my mamy teraz nowe zajęcie. Zamiast u mnie, całymi dniami siedzimy teraz w szpitalu przy łóżku Marty. Wpadają też do niej te dwie cygańskie dziewczyny z naszej klasy i razem próbujemy żartować, żeby rozluźnić atmosferę. Rana nie jest poważna i Marta niedługo wyjdzie do domu. W szpitalu chodzimy po korytarzach i nikt nas tu nie zatrzymuje kiedy zaglądamy na sale szpitalne.

Wszystkie są gęsto zastawione łóżkami, łóżko przy łóżku. Nie przypuszczaliśmy, że może tam leżeć aż tylu chorych. Nie mogą chodzić, więc nikt ich nie widzi. Władka mi opowiada, że są to inwalidzi wojenni i leżą na rehabilitacji.

Marta ma być dzisiaj wypisana do domu i z Igorem wstajemy wcześniej, żeby ją odprowadzić. Kiedy rano wchodzimy na salę, stajemy jak wryci, jej łóżko stoi

puste, a po Marcie ani śladu. Pytamy pielęgniarek i w końcu jedna z nich mówi, że w nocy przyszedł jej ojciec i zabrał do domu.

Już po kilku minutach chłopcy stoją zadyszani przed jej domem, ale drzwi są zamknięte. Nikt nie otwiera, więc nie wiedzą co robić, stoją i czekają. Po długiej chwili na parterze otwierają się drzwi i wychodzi do nich sąsiadka.

– Chodzi wam o tych Niemców z dołu? Ich już nie ma. Przyjechał po nich w nocy jakiś samochód, spakowali się i pojechali. Nie mówili gdzie. Potem jeszcze pyta, który to z nas jest Walter, wraca na chwilę do mieszkania i przynosi mi list od Marty. Odchodzę na bok i kiedy otwieram kopertę, widzę, że trzęsą mi się ręce. Marta pisze krótko: „Walter Liebster! Tu jest dalszy ciąg tej piosenki, którą wtedy zapomniałam:

...es trauern Berg und Tal, wo ich vieltausendmal bin drüber gegangen.

Im Sommer wächst der Klee, im Winter schneit's den Schnee, da komm ich wieder. Twoja Marta”.

I znowu poczułem ten sam strach, przeraźliwy smutek, jak wtedy, kiedy straciłem rodziców, czułem ścisk w gardle i nagle bez słowa i bez sensu zacząłem biec przed siebie, a Igor biegł za mną. Zatrzymaliśmy się dopiero koło Domu Zdrojowego Numer Jeden gdzie pracowała Władka.

Musiałem ją natychmiast zobaczyć, byłem chyba w szoku i nie mogłem czekać aż wróci do domu po pracy. Igor czekał na mnie w poczekalni, a ja chodziłem po tych łazienkach, między miedzianymi wannami z tą błotnistą mazią parującą na cały korytarz i jej szukałem. Kiedy ją znalazłem, przytuliła mnie i długo tak staliśmy.

Rano przychodzi do naszego domu dwóch milicjantów w cywilu i uśmiechnięci komunikują, że decyzją nowego komendanta dostaliśmy szansę na poprawę. Nie musimy się już z Igorem meldować na posterunku, tylko mamy wrócić do szkoły i uczyć się dla dobra Ludowej Ojczyzny. Odetchnąłem, ale musiałem ich jeszcze zapytać o Sidiego i o to, dlaczego chciał nas zabić. Uśmiechają się wyrozumiale.

– Tego nie wiemy, bo naszego pułkownika już nie ma, dostał awans do Warszawy i wyjechał. Nawet nie miał czasu się z nami pożegnać.

A więc Marty i Sidiego nie ma! Zostaliśmy teraz sami z Igorem i wtedy coś we mnie jakby pękło. Znowu wpadłem do tej mojej pustej, czarnej dziury, która jest tam we mnie gdzieś w środku, bardzo głęboko. Okazała się ona tą czarną skrzynką, gdzie

każdy szczegół mojego życia był dokładnie zapisywany. Dziś, po latach wystarczyło mi ją otworzyć i dlatego tylko i dzięki niej, mogę moją historię dokładnie opowiedzieć – o tych paru krótkich powojennych miesiącach w Polanicy, o nas, niewinnych i przedwcześnie dojrzałych dzieciach, których los przypadkowo połączył w tej dolinie; o naszej bezradności i przyjaźni tak intensywnej i bliskiej, jaka była możliwa tylko wtedy i już nigdy później.

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia kiedy Igor nagle mówi, żeby pójść na cmentarz i postawić świece na grobie brata Marty.

– Na cmentarzu jest już kilka polskich grobów i na nich zawsze palą się świece – mówi. Niech widzą, że nie jesteśmy gorsi. Przy okazji możnaby zobaczyć, co nowego u naszego Ramshorna. Już z daleka, od bramy widzimy, że coś jest inaczej. Cały grobowiec, ta cała kaplica leży w gruzach i wygląda że ktoś wysadził ją w powietrze. Obchodzimy od tyłu pozostałą ścianę i nagle zastygamy w przerażeniu – na naszej ławeczce, tuż przed nami siedzi on, sam Ramshorn! Oparty o ścianę własnego grobu patrzy na nas pustymi oczodołami. Na szkielecie widać jeszcze jakieś zbutwiałe resztki munduru i opaskę ze swastyką.

W pierwszej chwili ze strachu chcemy uciekać, ale spoglądamy na siebie i równocześnie spluwamy w jego kierunku a Igor szybko wymawia zaklęcie:

A, B, C, D – die Gruft ist auf

Das Monster kriecht raus

Die Knochen schnell in Sack,

bevor sie dich packt!

Od tego czasu nasza przyjaźń z Igorem zaczęła się jakby rozluźniać i nie przychodził już do mnie tak często. A ja po lekcjach nie wychodziłem prawie z domu, bo zacząłem się teraz interesować innym światem.

Na strychu zamontowałem światło i odkryłem, że doktor Schlegel miał tam ukryte swoje małe obserwatorium astronomiczne – małe otwierane okienko w dachu, a przed nim na statywie można było ustawić lunetę. Leżała tam przykryta jakąś szmatą, w pięknym drewnianym kufrze i jakby na mnie czekała, piękna „Zeiss Victory”. Wystarczyło ją tylko postawić na statywie i wtedy mogła mi pokazać, że kosmos można zobaczyć na własne oczy.

Zima trwała już na dobre, a z nią długie wieczory. Często wyłączali prąd i wtedy szedłem na strych, siadałem przed nią i przenosiliśmy się razem w kosmos. Nie była to długa droga, gwiazdy wydają się w górach zawsze tak blisko, na wyciągnięcie ręki. Ze strychu było widać całe miasteczko i moja piękna Zeiss Victory kierowała się w stronę okien i szukała tam Marty, ale widziała tylko oświetlone choinki.

Zaczynają się święta Bożego Narodzenia, zbliża się Nowy Rok. Patrzą teraz na wieżę kościoła i ludzi idących przez zaśnieżone uliczki na pasterkę.

Jest północ i dobiega mnie śpiew kolęd. Tych samych, które kiedyś razem śpiewaliśmy z rodzicami, ale słowa były teraz inne. Słyszałem *Stille Nacht* po polsku, kolędę, którą ci wygnańcy ze wschodu śpiewali dokładnie tak samo jak my, Niemcy, w tym samym miejscu, tylko o rok wcześniej.

I na tej chwili zatrzymała się moja pamięć, nie sięga już dalej i nie chce pamiętać co było później po tym kiedy wyjechała Marta. A przecież i ten czas jest gdzieś zapisany, pewnie tylko się ukrył głęboko gdzieś w mojej podświadomości, w tej drugiej półkuli, albo gdzieś tam w tych niedostępnych górach na horyzoncie, pod Śnieżnikiem. Ale tam nie sięgam, nie do wszystkiego mam dostęp, a może jest jeszcze za wcześnie o tym mówić?, wszystko ma swój czas.

Jestem jednak spokojny bo wiem, że pamięć tego miejsca jest gdzieś na pewno dokładnie zapisana i myślę, że kiedyś ten zapis połączy się z tym nowym, o tym co się tu niedługo zdarzy, kiedy przyjdą tu kolejni uchodźcy ze wschodu. Ale mnie już pewnie nie będzie.

To już jutro w Teatrze Zdrojowym, Igor Burek, a właściwie Raphael Baumann będzie miał swój pierwszy wernisarz i spotkanie autorskie z mieszkańcami Polanicy. Zrobiło się późno, a my z Igorem dalej siedzimy w „Zdrojowej” przy kolacji i rozmawiamy.

– Pamiętasz tę niemowę, tę kobietę, która mieszkała u was na parterze? – pyta Igor.

– Jak bym nie miał jej pamiętać? Pewnie już dawno zmarła.

– No tak, ale jej mąż dopiero nie tak dawno. Nie mówiłem ci, że spotkałem go kiedyś na ulicy

i dość długo rozmawialiśmy. Po jej śmierci był załamany. Ale wiesz, co mi powiedział?

– ?

–... że ona była Niemką, że po wojnie wyciągnął ją z jakiegoś obozu na Śląsku i wzięli ślub.

W domu wcale nie była niemową, tylko całe życie udawała żeby się nie wydało, że jest Niemką, żeby jej Polacy nie poznali po akcencie. Bała się ich całe życie.

– Wiesz, czasem mi się wydawało, że słyszałem ich przez ściany jak rozmawiają – mówi Walter. Ale przy okazji też chcę ci coś powiedzieć. Zastanawiałem się tak ostatnio i pomyślałem sobie, żeby ci zrobić niespodziankę. To moje mieszkanie nie może tak dalej stać puste, tobie się bardziej przyda. Ja już tu tak szybko nie przyjadę, ta historia się już dla mnie skończyła.

Pójdziemy do notariusza i przepiszę go na ciebie, wprowadzisz się tam i na starość będziesz miał swój kąt gdzie będziesz mógł pisać i nikt nie będzie ci przeszkadzał.

Igor patrzy na Waltera i słucha, kiedy ten mówi dalej:

–Tak naprawdę to ten dom do mnie ani Władki nigdy nie należał, ani nawet do tego doktora Schlegela. Ta historia powinna cię zainteresować. Zatrudniłem kogoś żeby to zbadał, a sam kiedyś pojechałem do archiwum w Kłodzku. Tam jakimś cudem zachowało się jeszcze dużo starych dokumentów, no i coś znalazłem. Ten doktor Schlegel w którego domu mieszkaliśmy z Władką, otóż on, przyprowadził się z rodziną do Altheide w 1934 i od razu pod ten adres, ale w książce adresowej widnieje tam praktyka innego lekarza, żydowskiego który się nazywał Baumann. Więc co się z nim stało? wtedy jeszcze żydów nie deportowano więc musiałem szukać gdzie indziej. I tu znalazłem prawdziwy kryminał.

Ten lekarz z żoną zostali zamordowani podobno w czasie jakiejś bijatyki pomiędzy nazistami i komunistami w Breslau. Sprawców nie wykryto. Ale dziwne jest, że oni zginęli dokładnie wtedy, kiedy doktor Schlegel obejmował posadę w Altheide. A to był krewny Ramshorna, więc ten pewnie poczuł się w obowiązku i ich załatwił, co pewnie nie było wcale takie trudne. Miał przecież swoje bojówki S.A. W efekcie Schlegel wprowadził się na gotowe. Pozostało tylko zrobić coś z dzieckiem. Co jest niezwykle, to że sam Ramshorn osobiście wydał siostrom zakonnym polecenie przyjęcia tego dziecka do sierocińca. A który bonzo zajmuje się osobiście takimi drobiazgami? To potwierdza tylko moje przypuszczenia. Jest na to dokument ich

zakonu, przetrwał, bo się znalazł w archiwum w Niemczech. I teraz pojawia się ojciec Marty, Zeiger, był on jego zastępcą w strukturach partyjnych SA, więc musiał mieć z tym coś wspólnego. Bo Altheide to jest mała miejscowość.

W końcu 1934 była noc "Długich Noży" i Ramshorna zastrzelili, ale Zeiger przeżył, bo był niżej w hierarchii i przeszedł do Gestapo, którym zresztą później w Altheide kierował. Ale dlaczego w 1945 nie uciekł razem ze Schlegelem ?

Oboje mieli takie same możliwości wyjazdu, oboje kierownicze stanowiska w Uzdrowisku. Biorąc pod uwagę, że w domu zdrojowym było wielu rannych, to właściwie Schlegel jako lekarz powinien zostać. Zeiger musiał mieć więc jeszcze jakieś zadanie. Tylko nie przypuszczał, że Rosjanie mu odetną mu tak szybko drogę ucieczki. Musiał więc zniknąć z pola widzenia i podał się Polakom za mechanika. Znał się na tych maszynach dobrze, bo tam zaczynał swoją karierę. Zwykły mechanik nie mieszka w willi przy parku, więc żeby nie podpadło, to sam się przeniósł z Martą do sutereny. Bardzo się tym interesował ten pułkownik, ojciec Sidiego.

Ale bez sukcesu, bo albo nie znalazł informanta, albo Sidi pewnie chlapnął coś Marcie o swoim ojcu po co tu jest, no i ten był ostrożny. Zwróciłeś uwagę, że ojca Marty nikt nie widział?, on się nikomu nie pokazywał bo może mógłby go ktoś rozpoznać. Cały czas był zamknięty przy tych maszynach i dlatego też szpital pracował bez problemów.

Ale Sidi przegiął i mu odbiło kiedy zobaczył że za dużo powiedział, że my już dużo wiemy, a Marta zrozumiała jego podwójną grę. I zaczął strzelać, dość zdecydowanie, bo jak pamiętasz było kilka strzałów. Gdyby był jeden to można by pomyśleć, że to przypadek. Do niej strzelać nie miał odwagi, zresztą tego nie wiemy, bo Igorowi udało się podbić mu rękę z rewolwerem.

Tej strzelaniny na cmentarzu nie dało się tak łatwo zatuszować bo Urząd Bezpieczeństwa w Kłodzku musiał pilnie poprawić swój wizerunek. Ci ubowcy szaleli po okolicy i byli bezkarni. W efekcie ludzie nie chcieli się tu osiedlać. A tego pułkownika, jak wiesz "krwawego Olo" musieli go przenieść gdzieś dalej.

Marta z ojcem wykorzystali ten moment i przeszli przez góry do strefy amerykańskiej. Jestem pewny, że przy pomocy tych cyganów, bo oni też wtedy zniknęli. W dzienniku szkolnym jest notatka i wykreślenie z listy uczniów.

Dokładnie wtedy. Wszystko by się zgadzało. To by znaczyło, że ten dom należał do twojego ojca, to on był tym lekarzem przed Schlegelem.... to tam się urodziłeś. Igor siedzi jak skamieniały, jest wstrząśnięty, nic nie mówi. Pytam go jeszcze raz o Martę, żeby zmienić temat.

– Nic nie słyszałem, przepadła – mówi – i nikt o niej więcej nie słyszał. Jeżeli wyszła za męża, to pewnie zmieniła nazwisko i trudno będzie ją odszukać.

Zrobiło się już późno i po drodze do domu zatrzymaliśmy się jeszcze na mostku, koło nowej promenady. Jakąś chwilę patrzymy na góry.

– To chyba prawda, co mówiły nam wtedy siostry zakonne, że to się tak łatwo nie skończy kiedy później wywozili stąd tych żydów na śmierć, mówi Igor. Z pewnością rzucili oni przekleństwo i ono wisi teraz nad tymi ludźmi, nad tą całą kotliną, do dzisiaj. Cały czas przechodzi z jednego na drugiego, bez względu, czy ktoś miał coś na sumieniu czy nie.

Bo takiej tragedii tu do tej pory nie było. Nigdy i nikt nikogo tu nie wyrzucał z jego własnego domu, zabijał, niszczył ślady, zorał groby, narzucił język, zmieniał nazwiska. I dlatego teraz tu tak wygląda.

Kotlina pustoszeje, ludzie nie mieszkają tu chętnie, wyjeżdżają, bo nie są szczęśliwi. A ci, którzy zostali, milczą i czekają aż wszyscy zapomną o tym co się tu stało, mówi Igor.

– Ale tego się nie da zapomnieć, to zło wisi ciągle w powietrzu i się gdzieś w pęta po tych górach, mówi Walter.

– Już pora żeby to przerwać. To przekleństwo przestanie działać tylko wtedy, kiedy się przerwie milczenie i zdejmie tą klątwę. A to mogę zrobić tylko ja, bo wygląda na to, że jestem tu ostatnim świadkiem i żydem który przeżył to inferno. I jutro to zrobię, inaczej tu wszystko opustoszeje i nigdy nie wróci do życia – mówi Igor.

- Chcesz to naprawdę zrobić? Pytam. Chyba czas się zbierać do domu, mówię, ale popatrzę tu jeszcze chwilę.

Kiedy Igor poszedł, zostaję jeszcze chwilę na moście bo nie mogę przestać myśleć o Marcie. Po tylu latach nagle zacząłem za nią bardzo tęsknić, dużo bym dał, żeby teraz tu przy mnie była. Opieram się o balustradę i patrzę w dół, a pode mną huczy

Bystrzyca. I nagle w tej rwącej, czarnej wodzie... nagle ją widzę, wyraźnie, tę bestię o której kiedyś mówił Igor.

Wyłania się na chwilę, a kiedy się nadyma, słyszę jej chichot. I od razu przypominam sobie zaklęcie:

-„Neck, Neck, Strudelgeist, du bist im Wasser, ich bin am Land”, syczę przez zęby - widziałem cię, a to oznacza tutaj twój koniec, koniec twoich rządów.

Koniec przekleństwa które na odchodnym rzucili na swoich następców ci wygnańcy, najpierw Żydzi, a potem Niemcy.

Jak stąd nie znikniesz, to Igor zrobi z tobą porządek, szepczę. Ale przedtem masz mi tu jeszcze sprowadzić Martę. To rozkaz.

Neck zamiera i z sykiem zaczyna się kurczyć do rozmiarów zwykłego bobra albo szczura wodnego. Spojrzał jeszcze na mnie tymi okrągłymi ślepiami tak, że zrobiło mi się ciemno przed oczami, trzasnął swym płaskim ogonem w wodę i zniknął.

Stoję jeszcze chwilę na mostku i patrzę na góry, w kierunku Marii Snieżnej.

Jest pełnia księżyca i wydaje mi się, że przez chmury pokazał mi się na chwilę mój Glatzer Schneeberg, Wielki Śnieżnik. Odwracam się jeszcze za siebie, bo wydawało mi się że ktoś za mną stoi i szepnął: "Walter?".

KONIEC

(Szczecin, Polanica 2019)

Opisana historia jest fikcją literacką, a wszelka zbieżność miejsc, osób i nazwisk jest przypadkowa.

Uwaga dla wydawcy: krótkie niemieckie teksty powinny być przetłumaczone i umieszczone w przypisach.